

WRÓG NUMER JEDEN.

**O STOSUNKACH PAŃSTWO-KOŚCIÓŁ W OKRESIE PRL,
z Antonim Dudkiem, naczelnikiem Wydziału Badań
Naukowych BEP IPN, rozmawia Barbara Polak**

B.P. – Chcę z panem rozmawiać o stosunkach państwo-Kościół w czasach władzy ludowej. Zaczniemy od roku 1944. Trwa wojna. Nie ma państwa polskiego. Są dwa rządy i dwie armie. Jest jeden Kościół. Co on ma w ten czas do zrobienia i co robi?

A.D. – Ma bardzo wiele do zrobienia. Mówimy o tych obszarach, na których ustępuje panowanie niemieckie, przychodzi Armia Czerwona, oddziały armii berlingowskiej zaczynają tworzyć się organy władzy komunistycznej i pojawia się zasadniczy problem relacji między władzą komunistyczną i Kościołem. Kościół oczywiście od początku podchodzi do niej z ogromną nieufnością, wiedząc o tym, co działo się z Kościołem katolickim, z religią w Rosji Radzieckiej, na polskich terenach okupowanych przez Związek Radziecki w latach 1939–1941. Spodziewano się surowych represji. I tu okazuje się, że one nie następują. (Poza przypadkami ewidentnego zaangażowania się duchownych we wsparcie dla podziemia politycznego czy działania jednoznacznie opozycyjne wobec nowej władzy). W latach 1944–1947 komuniści bardzo dobrze traktują Kościół katolicki. Z czego to wynika? Mianowicie ze strategii różnicowania przeciwników. Komuniści postrzegali Kościół jako przeciwnika, ale znajdował się on na końcu listy przeciwników, bo nie ścierał się z nimi na forum politycznym czy gospodarczym, ale na forum ideologicznym i światopoglądowym. Uważano, że najpierw trzeba zlikwidować opór zbrojny, podziemny i legalny, czyli NSZ, WiN, poakowskie organizacje podziemne, później opozycję jawną, czyli od 1945 r. – PSL i Mikołajczyka. Dopiero potem przyjdzie pora na Kościół katolicki. Pierwsze gesty władzy, ku zaskoczeniu hierarchii kościelnej, były przyjazne. Na przykład reaktywowano Katolicki Uniwersytet Lubelski w 1944 r., w tzw. Polsce Lubelskiej, rozciągającej się do Wisły, zgodzono się na przywrócenie nauki religii w szkołach. Dalej, Kościół uzyskał kontrolę nad ponemieckim majątkiem kościelnym. Władze nie przeszkadzały administratorom apostołskim, wyznaczonym przez prymasa Hłonda na podstawie pełno-



mocnictw ze Stolicy Apostolskiej, w tworzeniu polskich struktur kościelnych na ziemiach zachodnich, traktując to oczywiście jako element międzynarodowego uznania prawa Polski do tych ziem.

Sytuacja zaczyna się zmieniać mniej więcej w 1947 r. Oczywiście, już wcześniej UB oraz Informacja Wojskowa podejmowały próby infiltracji struktur kościelnych oraz pozyskiwania agentury. Niemniej zasadnicza ofensywa przeciw Kościołowi zaczyna się w październiku 1947 r.

B.P. – Co się wtedy stało?

A.D. – Po sfalszowanych przez komunistów wyborach Mikołajczyk w październiku 1947 r. ucieka z Polski – jest to symbol końca PSL. Podziemie zbrojne istnieje wprawdzie, ale jest już bardzo słabe. Pozwala to ministrowi bezpieczeństwa Stanisławowi Radkiewiczowi w październiku 1947 r. na odprawie aktywu kierowniczego (zebrano dyrektorów departamentów, szefów wszystkich wojewódzkich urzędów bezpieczeństwa) w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego na powiedzenie, że teraz głównym przeciwnikiem jest Kościół. Wszystkie inne siły zostały przez te dwa i pół roku rozbite.

B.P. – Ta sytuacja ma swoją analogię w historii sowieckiej. Na początku, podczas wojny, Cerkiew była jednak sojusznikiem, dawała legitymację do prowadzenia wojny ojczyźnianej, podrywała lud do walki, błogosławiła armię. W sytuacji już niewojennej, w okresie umacniania państwa polityczno-policyjnego, duchowieństwo i Cerkiew stały się wrogiem najgroźniejszym.

A.D. – Całkowicie się z tym zgadzam, z tym że tutaj jeszcze trzeba brać pod uwagę sprawę ziem zachodnich. Tuż po wojnie komunistom bardzo zależało na uzyskaniu legitymacji na forum międzynarodowym. Później, po 1947 r., stało się to jednym z powodów ataku na Kościół, w tym pierwszym okresie presja miała charakter nieoficjalny, wywierano ją metodami agenturalnymi, operacyjnymi. Od przełomu lat 1948–1949 – po odsunięciu Gomułki, objęciu władzy nad PPR, a wkrótce potem nad PZPR przez najbardziej dogmatyczne, wierne Moskwie skrzydło, kiedy zaogniła się sytuacja międzynarodowa – presja na Kościół staje się coraz bardziej oficjalna. Bardzo ważny jest 1949 r., wtedy bowiem papież Pius XII wydaje dekret zakazujący katolikom współpracy z komunistami, za współpracę z partią komunistyczną grożący ekskomuniką. PZPR traktuje to jako pretekst do gwałtow-



nego ataku na Kościół i rozpoczyna już otwarcie antykościelną kampanię, taką, jaką stosowano dotychczas wobec PSL czy podziemia. Zwołuje się masówki w zakładach pracy, potępia się hierarchię kościelną za jej antypolską postawę i brak patriotyzmu, za powiązania z Watykanem, który jest agenturą amerykańską, bo tak to jest przedstawiane w propagandzie 1949 r.

Od przełomu lat 1948–1949 zaczyna się programowa ateizacja i atak na Kościół we wszelkich możliwych sferach. Sowietyzowane są programy nauczania w szkołach, a jednym z elementów tej sowietyzacji jest antyklerykalizm. Dochodzi do tego, że żołnierzom w wojsku oraz młodzieży każe się śpiewać piosenki o jednoznacznie antykościelnej wymowie, na przykład była taka piosenka, której fragment brzmiał: „Nie papież nam Wybrzeże dał, nie Śląsk biskupów był”. To były działania obliczone na budowanie nastrojów wrogości do Kościoła.

Z tym wszystkim musiał się zmagać prymas Wyszyński, który w tym właśnie momencie, po śmierci prymasa Hłonda, został głową polskiego Kościoła.

B.P. – Wróćmy jeszcze do momentu przełomowego, czyli do zerwania konkordatu.

A.D. – Zerwanie konkordatu było pierwszym niezycliwym posunięciem wobec Kościoła, na które komuniści, wbrew temu, o czym do tej pory mówiłem, zdecydowali się jeszcze we wrześniu 1945 r. Paradoksalnie jednak, miało ono dla polskiej hierarchii kościelnej dobrą stronę. Konkordat dawał Kościołowi pewne umocowanie w prawie międzynarodowym, ale zapewniał też władzom państwowym (chodzi o władze II Rzeczypospolitej) wpływ na obsadzanie stanowisk kościelnych. Skoro władze uznały konkordat za nieobowiązujący, hierarchia kościelna stwierdziła, że nie musi z nimi konsultować decyzji personalnych.

B.P. – I dlatego można było stawiać na Stefana Wyszyńskiego.

A.D. – Tak, dlatego właśnie można było ustanowić biskupem lubelskim, a następnie arcybiskupem warszawskim i gnieźnieńskim księdza Stefana Wyszyńskiego. Można było podjąć wiele innych ważnych decyzji personalnych w Kościele, na które komuniści chcieliby mieć wpływ. Władze komunistyczne chciały ingerować w obsadzanie stanowisk kościelnych bez konieczności przestrzegania praw Kościoła, bez zawierania konkordatu. Komuniści za-





mierzali działać na podstawie prawa wewnętrznego, przez siebie samych ustanowionego.

Otóż strategia Wyszyńskiego była taka: nie można iść drogą węgierską, drogą Mindszentyego, który traktował komunistów jako zło integralne, jakiemu trzeba się przeciwstawić w sposób absolutny, jednoznaczny i natychmiastowy. Strategia Mindszentyego doprowadziła do tego, że w 1948 r. został aresztowany, poddany torturom, działaniu środków psychotropowych i na procesie przyznał się do szpiegostwa. A od 1949 r. rozpoczął się proces niszczenia Kościoła węgierskiego, bo jego pasterz został wyeliminowany.

Wyszyński uważał, że trzeba grać na czas. Zakładał, że ten reżim nie będzie prawdopodobnie stale tak opresywny. Należy wyznaczyć pewną granicę ustępstw: są sprawy, w których Kościół może ustąpić, i są takie, w których ustąpić nie może. Nie może zrezygnować z pełnego prawa samodzielności w zakresie polityki personalnej, ale może ustąpić w sferze propagandowej, może złożyć pewne deklaracje, których oczekują komuniści. Od 1949 r. PZPR domaga się porozumienia między państwem i Kościołem. Tak zwana komisja mieszana rządu i Episkopatu prowadzi negocjacje, przy czym nie są to negocjacje równorzędnych partnerów, nie ustają bowiem ataki na Kościół. W styczniu 1950 r. zostają wykryte nadużycia – fikcyjne – w Caritasie, czyli stworzonej przez Kościół centrali charytatywnej. Wykorzystano to jako pretekst do usunięcia zarządu kościelnego Caritasu i ustanowienia nowego, składającego się z dwóch grup, mianowicie z działaczy „Dziś i Jutro” – późniejszego PAX – i z tzw. księży-patriotów. We wrześniu 1949 r. wyłania się dziwny twór, czyli komisja księży przy ZBoWiD. To jest oczywiście dzieło aparatu bezpieczeństwa. Pierwszą grupę księży, założycieli tego ruchu, stanowią agenci zwербowani przez Urząd Bezpieczeństwa, drugą – księży skłócenie ze swymi biskupami, trzecią ci, których udało się w jakiś sposób przekonać do tzw. postępowości, bo zawsze w tak wielkiej masie – ponad dziesięć tysięcy księży – znajdzie się kilku uważających się za ideowych ludzi lewicy, socjalistów, komunistów wręcz. I z tego towarzystwa zostaje sformowana grupa założycielska, która stopniowo, głównie dzięki pomocy UB, rośnie w siłę. W szczytowym momencie, czyli po 1953 r., po aresztowaniu prymasa, grupa ta liczy około tysiąca księży.

W marcu 1950 r. wychodzi dekret o przejęciu dóbr martwej ręki. W 1944 r. jednym z aktów przyjaznych w stosunku do Kościoła było wyjęcie dóbr kościelnych spod przepisów de-

kretu o reformie rolnej. Majątki należące do Kościoła nie zostały poddane parcelacji. Dekret z marca 1950 r. oznacza rozciągnięcie przepisów o reformie rolnej na dobra kościelne: ograbiono Kościół z kilkudziesięciu tysięcy hektarów ziemi. Często dochodzi do nadużyć, zabierane jest więcej ziemi, niżby wynikało z przepisów dekretu. Te działania mają zmusić hierarchię do podpisania porozumienia. Ostatecznie prymas Wyszyński nabiera przekonania, że należy to uczynić. Nie wszyscy biskupi podzielają punkt widzenia prymasa, m.in. kardynał Sapięha uważał, że to zbyt duże ustępstwo. Żeby oddać ówczesną atmosferę, przypomnę, iż na początku 1950 r. kardynał Sapięha napisał krótką deklarację, w której stwierdzał, że jeśli zostanie aresztowany, to z góry oświadcza, iż wszystko, co zezna w czasie ewentualnego procesu, jest nieprawdą i będzie najprawdopodobniej wymuszone.

Wyszyński podejmuje decyzję, którą naraża się i Sapięsze, i Stolicę Apostolską. 14 kwietnia 1950 r. przedstawiciele Episkopatu i władze PRL podpisują tzw. porozumienie kwietniowe. Daje ono Kościołowi pewne uprawnienia - jest mowa o tym, że nauka religii zostanie utrzymana w szkołach na tym poziomie, na którym znajduje się w momencie podpisania porozumienia. Porozumienie pozwala też formalnie zachować prawo do posługi duszpasterskiej w szpitalach i więzieniach; ma być zagwarantowane zwolnienie kleryków ze służby wojskowej i wiele innych przywilejów dla Kościoła.

B.P. – A co w zamian?

A.D. – W zamian, co wzburzyło Stolicę Apostolską i wzbudziło ogromne kontrowersje, Kościół złożył kilka bardzo poważnych deklaracji. Po pierwsze, iż nie będzie się sprzeciwiał kolektywizacji rolnictwa, pod warunkiem że będzie ona miała charakter dobrowolny. Po drugie, strona kościelna zadeklarowała, że zakazuje księżom angażowania się w działalność, jak to określano, „band podziemnych” i będzie karała karami kościelnymi tych, którzy zakaz złamią. Poza tym, na czym władzom bardzo zależało, strona kościelna oświadczyła, że będzie zabiegała w Stolicy Apostolskiej o ustanowienie stałej administracji kościelnej na ziemiach zachodnich i północnych. Ta ostatnia sprawa stała się wkrótce głównym przedmiotem sporów. Porozumienie było bardzo kontrowersyjne, co widać z dzisiejszej perspektywy – szczególnie zobowiązania strony kościelnej,



zapisane językiem propagandowym, partyjnym, wyraźnie pod dyktando władz.

Trzeba sobie zdawać sprawę, że Wyszyński grał na czas. Później okazało się, że miał rację. Gdyby nie podpisał tego porozumienia, najprawdopodobniej zostałby uwięziony już w 1950 r., co oznacza, że te bardzo niekorzystne dla Kościoła zmiany, które zaczęły się po jego uwięzieniu jesienią 1953 r., nastąpiłyby w 1950 r. Kościół straciłby ponad trzy lata, niezwykle ważne dla umocnienia wewnętrznej autonomii. Po podpisaniu porozumienia natychmiast okazuje się, że władze nie dotrzymują zobowiązań: religia dalej zostaje usuwana ze szkół, duchowni wciąż są rugowani ze szpitali i innych miejsc publicznych, oczywiście prasa katolicka jest coraz bardziej ograniczana, coraz silniej cenzurowana.

W lipcu 1950 r. podpisano tzw. układ zgorzelecki między Polską a NRD, potwierdzający granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej. Od tego momentu władze uważają, że nie istnieje już problem tymczasowości polskich granic zachodnich, nic więc stoi nie na przeszkodzie, by została ustanowiona stała administracja kościelna na ziemiach zachodnich i północnych. Watykan z kolei stoi na stanowisku, że musi być podpisany układ z drugim państwem niemieckim, czyli z Republiką Federalną Niemiec, którą Watykan z wzajemnością uznaje, a nie uznaje NRD. Dlatego układ zgorzelecki z punktu widzenia Stolicy Apostolskiej nie ma znaczenia.

Komuniści uzyskują świetny pretekst do ataku – pokazują społeczeństwu, jak pozbawiony patriotyzmu jest polski Kościół i jego watykańscy mocodawcy – mamy układ z państwem niemieckim, mamy granicę zachodnią, a oni nie chcą ustanowić stałej administracji kościelnej, to znaczy, że nie wierzą w polskość tych ziem. Staje się to powodem nieustannych ataków i żądań przedstawicieli strony rządowej pod adresem Kościoła. Mówi się wręcz, że Kościół musi odciąć się w tej sprawie od Rzymu, zachęcając tym samym do schizmy. Hierarchia nie zgadza się na to, przedstawia racje strony kościelnej, ale argumenty te mają ograniczoną skuteczność.

W styczniu 1951 r. po raz pierwszy aresztowano biskupa. Wprawdzie pierwsze zatrzymanie biskupa miało miejsce jeszcze w 1950 r., ale był to tylko krótki areszt domowy. W styczniu 1951 r., kiedy w więzieniach siedzi już wielu księży (ich liczbę szacuje się na czterystu), dołącza do nich ordynariusz kielecki, biskup, Czesław Kaczmarek. Ten areszt jest próbą zastraszenia całego Episkopatu.

B.P. – Jaki zarzut postawiono biskupowi Kaczmarkowi?

A.D. – Szpiegostwo na rzecz Watykanu i USA. Aresztowano wówczas grupę ludzi, jako tę siatkę agenturalną, którą biskup rzekomo miał tworzyć i kierować nią. Również w styczniu 1951 r. władze, niezadowolone z faktu, że przez kilka miesięcy nic się nie wydarzyło w sprawie układu zgorzeleckiego, usuwają administratorów apostolskich, p.o. biskupów, z ziem zachodnich. W większości, pod presją władz, na ich miejsce zostają wyznaczeni jako wikariusze kapituł księży-patrioci. Proces rozciągania kontroli nad strukturami kościelnymi zaczyna się właśnie od ziem zachodnich i północnych. Wyszyński stoi wobec dylematu: albo uznać tych wikariuszy, co byłoby równoznaczne ze schizmą, albo ich nie uznać. Prymas podejmuje decyzję, która jest kolejnym ustępstwem – uznaje ich wybór. Ale władze dalej są niezadowolone, bo dla niej wikariusze to za mało, to podkreśla stan tymczasowy, żądają więc wyznaczenia biskupów tytularnych. Wyszyński się na to nie zgadza, poza tym taka decyzja należy już do Rzymu.

Jesienią 1952 r. biskupi śląscy inicjują podpisywanie petycji do władz przeciw usunięciu nauki religii ze szkół. Natychmiast zostają wysiedleni z diecezji i osadzeni w aresztach domowych. Diecezja śląska zostaje obsadzona przez księży-patriotów. Na początku 1953 r. odkryto „siatkę szpiegowską” w diecezji krakowskiej. Ordynariusz krakowski zostaje usunięty z diecezji. Pętla zaczyna się zaciskać. Krytyczny moment przychodzi w lutym 1953 r. 9 lutego Rada Państwa wydaje dekret o obsadzaniu stanowisk kościelnych, który w istocie daje władzom prawo decydowania o obsadzaniu i usuwaniu ze wszystkich stanowisk kościelnych, od proboszczów do biskupów ordynariuszy. Dla prymasa Wyszyńskiego ten dekret oznacza granicę. Nie może już dłużej grać na czas, to oznaczałoby kapitulację. Pod wpływem prymasa Wyszyńskiego Episkopat formułuje słynny, obszerny, ponad trzydziestostronicowy memoriał skierowany do władz PRL, w którym wymienia wszystkie krzywdy i represje. Na końcu pada słynne *non possumus*. Prymas jest nieprzejednany.

We wrześniu 1953 r. rozpoczyna się proces biskupa Kaczmarka. Po dwóch latach od momentu aresztowania biskup przyznał się do szpiegostwa. Poddano go ciężkiemu śledztwu, nie pozwalano spać, nie dawano leków. Zaczyna się pokazowy proces, w którym zapada wyrok dwunastu lat więzienia. Wyszyńskiemu i całemu Episkopatowi władze każą potępić biskupa Kaczmarka. Prymas odmawia, i to staje się bezpośrednim powo-



dem decyzji podjętej przez Sekretariat Biura Politycznego na wniosek Bieruta. Oficjalnie nazywa się to decyzją o pozbawieniu funkcji kościelnych prymasa Wyszyńskiego, a w praktyce oznacza jego internowanie. Formalnie nie jest uwięziony, nie jest aresztowany, nie przedstawia mu się żadnych zarzutów, nie jest organizowany proces.

Od tego internowania zaczyna się najbardziej krytyczny moment w dziejach Kościoła. Pojawia się problem, kto będzie przewodniczył Konferencji Episkopatu. Biskupi dostają ultimatum – albo wybiorą na przewodniczącego Konferencji Episkopatu biskupa łódzkiego Michała Klepacza, który w oczach władz uchodził za najbardziej ugodowego, albo każdy inny podzieli los Wyszyńskiego. Episkopat ma do wyboru: albo dać się w całości zamknąć, albo wybrać Klepacza. Wybiera Klepacza.

B.P. – Czy sądzi pan, że ta pogróżka zostałaby zrealizowana?

A.D. – Tego nie można dziś stwierdzić. Jest prawdopodobne, że komuniści nie zdecydowaliby się na internowanie Episkopatu *in gremio*, bo mogłoby to doprowadzić do poważnych zaburzeń społecznych.

B.P. – Czy był jakiś protest Watykanu?

A.D. – Oczywiście, Stolica Apostolska zaprotestowała, protestowała już w sprawie biskupa Kaczmarka.

Wyszyński miał później pretensje do biskupów, którzy pozostali na wolności. Trzeba powiedzieć, że w momencie internowania Wyszyńskiego kilku biskupów już było w aresztach domowych czy, jak Kaczmarek, w więzieniu. Wyszyński miał żal do biskupów, którzy pozostali na wolności, że nie wykazali hartu ducha. Miał pretensję, że ulegli presji władz – nie tylko wybrali Klepacza, ale złożyli ślubowanie na wierność Polsce Ludowej, co było konsekwencją uznania dekretu lutowego. Kolejnym krokiem biskupów było wydanie oświadczenia potępiającego tzw. bolesne fakty, które wyszły na jaw podczas procesu biskupa Kaczmarka. Takie oświadczenie Episkopat wydał; stanowiło to akt kapitulacji z jego strony, choć nie była to kapitulacja całkowita. Przez następne kilka lat trwa wojna, obrona na wpół zdobytej twierdzy. Władze mają w niej swoje przyczółki i zaczyna się walka na czas, polegająca na tym, że komuniści wciąż chcą zmian kadrowych w Kościele, w kolejnych kuriach, dekanatach, probostwach, chcą

obsadzać te stanowiska księżmi-patriotami. Biskupi najpierw odwołują decyzję, w końcu odwołują tę niewygodną osobę i znowu zwlekają z powołaniem sugerowanego przez władze następcy. To nie mogło oczywiście trwać w nieskończoność. Od jesieni 1953 r. do wiosny 1956 r., kiedy procesy odwilżowe sprawiły, że biskupi stopniowo zaczęli odzyskiwać kontrolę, komunistom udało się poobsadzać swoimi ludźmi, czyli księżmi-patriotami, trochę stanowisk kościelnych. Nie było jednak ich aż tak wielu, a ponadto reprezentowali dość niski poziom, więc nie mogli sprawować funkcji kierowniczych w Kościele. Stosowano wiele tego typu działań opóźniających i to się jakoś sprawdziło. Bo na przykład w Czechosłowacji czy na Węgrzech w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych całe kierownictwo Kościoła przejęli księża lojalni w różnym stopniu wobec władz. W Polsce to się nie powiodło. Kiedy jesienią 1956 r., po październiku, prymas wrócił z internowania, Kościół był wciąż jeszcze, może nie w całości, ale w dużej części suwerenny. Można było, usuwając niewielką liczbę duchownych, na przykład tych wikariuszy kapitulnych na ziemiach zachodnich, przywrócić personalną niezależność od władz. Nie udało się złamać Kościoła. Po 1956 r. sytuacja była zupełnie inna. Władze już nie ośmielały się tak dalece ingerować w tę bardzo ważną dla Kościoła sferę.

B.P. – Czy prymas Wyszyński, o którym mówi się, że był człowiekiem na miarę swoich czasów i człowiekiem niezłomnym, wyzwał jakąś agresję osobistą u ludzi ówczesnego aparatu władzy? Czy był ktoś, kto go szczególnie zwalczał?

A.D. – Myślę, że tak, to właśnie objawia się w czternastoleciu rządów Gomułki. Po pierwszym okresie pewnego porozumienia między Gomułką a Wyszyńskim, mniej więcej od 1958 r., stosunki między nimi zaczęły się gwałtownie psuć. Na początku lat sześćdziesiątych, po kilku wielogodzinnych rozmowach, które Gomułka odbył z Wyszyńskim, przerodziły się one w moim przekonaniu w personalny konflikt. Gomułka nigdy nie posunął się do pozbawienia wolności prymasa, ale stosował takie drobne szykany, jak na przykład pozbawienie paszportu czy zniszczenie całego nakładu książek Wyszyńskiego, co było jego osobistą decyzją. Te książki z kazaniem, wydrukowane w Paryżu, wprost z wagonu kolejowego pojechały do Konstancina na przemiał. Tego typu wykonywał Gomułka szczególnie w okresie obchodów milenijnych i orędzia biskupów polskich do biskupów niemieckich. Gomułka w tym okresie wręcz obrażał prymasa w swoich przemówieniach,





opowiadając o tym, jak ograniczony i ciasny musi być umysł pasterza polskiego Kościoła, skoro mówi o Polsce jako o przedmurzu chrześcijaństwa. Niewątpliwie Gomułka i jego prawa ręka, Kliszko, mieli obsesję na punkcie Wyszyńskiego. Kliszko na przykład mówił wprost, na posiedzeniu specjalnej komisji partyjno-rządowej, że trwa walka o rząd dusz w Polsce i Wyszyński pozostaje w niej głównym przeciwnikiem.

B.P. – Słusznie, skądinąd.

A.D. – Kliszko miał rację, ale świadczy to o pewnego rodzaju obsesji, w ich przekonaniu bowiem gdyby udało się Wyszyńskiego odwołać, stosunki państwo-Kościół natychmiast uległyby wówczas poprawie. To złudzenie, bo w Episkopacie Wyszyński nie był jedynym przeciwnikiem PRL. Podobnie myślała większość biskupów. Tu trzeba powiedzieć, że po uwolnieniu Wyszyński stał się w Episkopacie niekwestionowanym przywódcą, o bardzo silnych, wręcz autorytarnych skłonnościach. Na konferencjach Episkopatu potrafił rugać biskupów, którzy szli na jakieś ustępstwa wobec władz. (Trzeba pamiętać, że wszyscy biskupi ordynariusze są tak naprawdę sobie równi, a prymas jest tylko *primus inter pares*). Władze to oczywiście wiedziały i starały się wykorzystać, ale nigdy im się nie udało sprowokować otwartego konfliktu między hierarchami. Wyszyński miał poczucie moralnej wyższości nad większością biskupów, bo po pierwsze, w większości nie byli oni w więzieniu, kiedy on był internowany, a po drugie, wielu zostało biskupami później, więc on z pozycji człowieka starszego, bardziej doświadczonego, kardynała, odgrywał rolę przywódczą. Stworzył pewien model kierowania polskim Kościołem, który zaczął się chwiać dopiero po 1989 r.

B.P. – Gdyby ktoś naprawdę miał pomysł, żeby ostatecznie rozprawić się z Kościołem, można to było zrobić, włączając znacznie bardziej represyjne metody wobec instytucji i ludzi. Dlaczego nie sięgnięto po rzeczywiste argumenty siły? Czy to wynikało ze świadomości, że nie da się usunąć Kościoła z życia narodu? Byłoby to dowodem pewnej samodzielności prowadzenia polskiej polityki wewnętrznej dotyczącej spraw religii. Istniały wszak dobre sowieckie wzory skutecznego działania w tej dziedzinie.

A.D. – Szansa na zniszczenie Kościoła była tylko między 1953 a 1956 r. Można było bardziej przykręcić śrubę, trochę więcej biskupów pozbawić diecezji itd. Ale przede wszystkim brakowało

kadr. Poza tym jednak Kościoła nie można było w ogóle zlikwidować, bo wtedy zszedłby on do podziemia i władzom byłoby jeszcze trudniej go kontrolować. Dla władz było oczywiste, że ludzie nie przestaną z dnia na dzień wierzyć w Boga. Jeśli chodzi o rolę Moskwy, to jak wynika z zapisków Bieruta, konsultował z nią każde swoje posunięcie. Znanie są takie jego zapiski z połowy 1949 r., z rozmowy ze Stalinem, kiedy Bierut mówi o mającym się ukazać dekrete o wolności sumienia i wyznania (na podstawie tego dekretu później skazywano księży za nadużywanie swobód religijnych do wrogiej działalności) i o planie powołania ruchu księży-patriotów. Stalin mu odpowiada, że ten dekret jest oczywiście ważny, ale najważniejsze jest wywołanie rozłamu w łonie Kościoła. Księża-patrioci są znacznie istotniejsi niż jakieś tam dekrety. To jest ślad takiego instruktażu. Można przyjąć, że kolejne posunięcia, łącznie z internowaniem prymasa, były konsultowane najprawdopodobniej z następcą Stalina, z Chruszczowem.

Niewątpliwie brakło czasu, by roztoczyć pełną kuratelę nad Kościołem. Nadszedł październik 1956 r. – wielki ruch społeczny, w którym hasła kościelne odgrywały wielką rolę. Często się o tym zapomina. Mamy pewien obraz 1956 r. oglądanego przez pryzmat Politechniki Warszawskiej, FSO, ruchu Rad Robotniczych, odnowy w partii, ale trzeba pamiętać, że na tych ogromnych wiecach, demonstracjach, masówkach, które się wtedy w całej Polsce odbywały, najczęściej występującym hasłem było żądanie zwolnienia prymasa, przywrócenia religii do szkół, przywrócenia wolności Kościołowi.

Po śmierci Stalina zależność od Kremla Warszawy i innych państw satelickich wyraźnie osłabła. Gomułka swoją politykę wobec Kościoła prowadził całkowicie samodzielnie. Te wszystkie późniejsze awantury z Kościołem były jego dziełem. Gomułka walczył z Kościołem, niemniej podczas kolejnych wizyt towarzyszy radzieckich wyrażano zdziwienie – „że tak walczycie, towarzyszu, z tym Kościołem, walczycie o kolektywizację, a ani na jednym, ani na drugim odcinku nie widać żadnych postępów”.

B.P. – Czy polityka Gierka wobec Kościoła różniła się w istotny sposób od tej, którą prowadził Gomułka?

A.D. – Po grudniu 1970 r. polityka wobec Kościoła ulega częściowej zmianie. Ekipa Gierka jest znacznie bardziej pragmatyczna i wie, że konflikty z Kościołem na taką skalę się nie opłacają. Kościół jest oczywiście nadal poddawany infiltracji ze strony Służby



Bezpieczeństwa, dalej jest limitowane budownictwo kościelne, nie ma religii w szkołach, działa za to ścisła cenzura i następuje limitowanie prasy katolickiej, ale Gierek i Kania, który prowadzi politykę wobec Kościoła, uważają, że nie ma sensu doprowadzanie do tak ostrych sytuacji konfliktowych, jak ta z 1966 r., że to nie służy interesom partii, stabilności sytuacji społecznej. Ekipa Gierka decyduje się na pewne poluzowanie, na przykład znacznie częściej wydawane są pozwolenia na budowę kościołów. Za Gomułki, w latach sześćdziesiątych, takich zgód praktycznie nie wydawano, Gierek wydaje ich kilkadziesiąt rocznie. Po układzie z grudnia 1970 r. w 1972 r. parlamenty PRL i RFN ratyfikują układ graniczny z 1970 r. i papież Paweł VI zyskuje możliwość ustanowienia stałej administracji kościelnej na ziemiach zachodnich i północnych, co okazuje się bardzo ważne dla atmosfery w stosunkach państwo-Kościół. Gierek uważa wręcz, że Watykan może być bardziej pragmatyczny niż Wyszyński, więc można dążyć do ustanowienia stosunków dyplomatycznych. Zaczynają się negocjacje, które doprowadzają w 1974 r. do podpisania porozumienia ustanawiającego *de facto* stałe kontakty robocze. Był w tym oczywiście element pewnej presji na prymasa, sugerowania, że „jak się nie będziemy mogli z księdzem prymasem dogadać, to będziemy się dogadywać z Watykanem”. Wyszyński się tego obawiał, do końca życia był bardzo sceptyczny wobec wszystkich przedstawicieli Watykanu, uważał bowiem, że nie rozumieją specyfiki polityki władz PRL wobec Kościoła i łatwo dadzą się oszukać komunistom.

Stosunek ekipy Gierka do Wyszyńskiego ulega pewnej zmianie mniej więcej około 1975 r. O ile jeszcze w 1973 r. ówczesny minister spraw zagranicznych Stefan Olszowski w czasie negocjacji z arcybiskupem Agostino Casarolim, przedstawicielem Stolicy Apostolskiej do rozmów z Polską, mówił, że głównym utrudnieniem w osiągnięciu porozumienia pozostają Wyszyński i Tokarczuk, o tyle gdy prymas w 1976 r. obchodzi 75 urodziny, dostaje 75 róż od premiera Jaroszewicza.

B.P. – Jak się domyślam, czerwonych.

A.D. – Oczywiście, czerwonych. Dostaje je razem z listem, w którym władze PRL życzą mu zdrowia, pomyślności, wyrażają uznanie za dotychczasową pracę oraz, co jest kluczowe, nadzieję, że będzie dalej pełnił swoją funkcję. Wedle prawa kanonicznego 75 lat stanowi wiek emerytalny dla biskupa. Gdyby władze

PRL dalej się tego kategorycznie domagały, Stolica Apostolska mogłaby rozważać wystąpienie prymasa na emeryturę. Okazuje się, że władze PRL już tego nie chcą. To jest zagadka, dlaczego? Jak się wydaje, dlatego, że w KC zaczęto rozważać problem, kto będzie następcą Wyszyńskiego. Jako najważniejszy kandydat pojawił się kardynał Karol Wojtyła. Władze zdecydowanie wolą Wyszyńskiego niż Wojtyłę, gdyż dał się on poznać w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych jako człowiek bardzo zdecydowany wobec władz, ostrzej przemawiający w swych kazaniach niż Wyszyński. Prymas był dla władz bardziej przewidywalny. I chociaż zasadnicza polityka wobec Kościoła nie zmienia się, bo nadal zwalcza się religię itd., do prymasa władza podchodzi z atencją. I tak już będzie do jego śmierci w roku 1981.

Po drodze następuje wybór kardynała Wojtyły na papieża i to jest wydarzenie o ogromnym znaczeniu. Z ogromu tego wydarzenia początkowo władze PRL nie zdają sobie sprawy. Pierwsze reakcje są następujące (zwłaszcza Kania celował w takich wypowiedziach): „lepszy jest dla nas Wojtyła w Watykanie niż jako prymas Polski”. To była formuła absurda, bo Wojtyła jako papież mógł zrobić dla Kościoła w Polsce znacznie więcej, niż gdyby został w Polsce. Początkowo postanowiono niczego nie zmieniać w stosunkach państwo-Kościół, chociaż było oczywiste, że wraz z wyborem Wojtyły na papieża Kościół zyskał potężnego protektora w Stolicy Apostolskiej i nie da się już jej rozgrywać przeciwko polskiej hierarchii kościelnej, zaś religijność Polaków znacznie wzrośnie, czego dowodem była pierwsza papieska pielgrzymka do ojczyzny. Po tym władze dokonują znaczącej reorientacji w stosunku do Kościoła, przestaje on być przeciwnikiem numer jeden. Wraz z powstaniem „Solidarności” Kościół staje się w istocie rzeczą trzecią siłą, którą władze starają się pozyskać, albo przynajmniej zapewnić jej neutralność.

Lata osiemdziesiąte to historia zabiegów o Kościół, o to, żeby pozostał neutralny, żeby nie angażował się we wsparcie dla opozycji. Te zabiegi o pozyskanie Kościoła doprowadzają do pewnych różnic w tonie hierarchii. Jest linia uosabiana przez następcę Wyszyńskiego, prymasa Józefa Glempa, który z jednej strony uważa, że po wprowadzeniu stanu wojennego „Solidarność” stanowi rozdział zamknięty w polskiej historii i że trzeba szukać jakiegoś porozumienia z władzami na gruncie interesów Kościoła. Prymas idzie w pewnych sytuacjach na większe ustępstwa wobec władz niż inni hierarchowie. Rodzi to wyraźny konflikt w obrębie Episkopatu. Są tacy ludzie, jak arcybiskup Ignacy Tokarczuk czy



arcybiskup Henryk Gulbinowicz, który bardzo stanowczo upominają się o prawa człowieka, o „Solidarność”. Ten podział jest wyraźny przez całe lata osiemdziesiąte i waży dość istotnie na sytuacji Kościoła. Władze nie mają dobrej koncepcji, jak tę, niewątpliwie dla siebie wygodną sytuację, wykorzystać. Wewnątrz obozu władzy również dochodzi do podziału w tej kwestii. Niektórzy, jak na przykład współprzewodniczący komisji wspólnej rządu i Episkopatu Kazimierz Barcikowski, rzeczywiście dążą do jakiegoś kompromisu historycznego między państwem komunistycznym a Kościołem w Polsce, ale równocześnie są w aparacie władzy ludzie, którzy ewidentnie nie chcą takiego porozumienia, bo uważają, że jest to sprzeniewierzenie się pryncypiom ideologicznym, i zamierzają walkę z Kościołem kontynuować. Raz jedna strona bierze górę, raz druga.

B.P. – Wydaje mi się, że nastąpił wtedy szczególny moment. Padła koncepcja przeprowadzenia konsekwentnego programu ateizacji społeczeństwa. Te kilkadziesiąt lat pouczyło, że można poczynić szkody, ale nie osiągnie się zamierzonego celu. Lata osiemdziesiąte obnażają desperackie zachowania władz, dochodzi mianowicie do kilku skrytobójstw dokonanych na księżach. Czy posługiwanie się metodą bezpośredniej eliminacji fizycznej niewygodnych duchownych było już wcześniej praktykowane?

A.D. – Oczywiście zdarzały się takie wypadki, choćby zabójstwo księdza Romana Kotlarza z Radomia, którego władze nienawidziły za jego postawę w związku z wydarzeniami z czerwca 1976 r. i wcześniejsze, jak to określano, podburzanie ludzi. Był on zapewne ofiarą Służby Bezpieczeństwa. Wypadki z końca lat osiemdziesiątych – zabójstwa księdza Zycha, Niedzielaka i Suchowolca – pozostają niejasne. Nie da się z całą pewnością powiedzieć, że to zrobiła Służba Bezpieczeństwa, i nie można tego wykluczyć. Mogło być kilka powodów. Jeżeli założymy, że to rzeczywiście były ofiary komunistycznych służb specjalnych, to najbardziej prawdopodobne są dwie interpretacje – że, tak jak w przypadku księdza Popietuszki, chodziło o sprowokowanie pewnych niepokojów społecznych i zaszkodzenie ówczesnej ekipie rządzącej, albo, co też jest możliwe, było to odzwierciedlenie frustracji działaczy i funkcjonariuszy Departamentu IV MSW, od których stale domagano się wyników. Wyników zaś nie było, bo oni nie byli w stanie zmusić tych księży do milczenia i ich frustracja przerodziła się w agresję i doprowadziła do zabójstw. Zbrodnie te jednak nie zmieniają generalnie nowego obrazu

stosunków państwo–Kościół w latach osiemdziesiątych w porównaniu z okresem wcześniejszym.

B.P. – Ten nowy stosunek był bez wątpienia bardziej pragmatyczny, im w końcu paliła się ziemia pod stopami.

A.D. – Ale i tak nie zmienia to faktu, że w partyjnych dokumentach wciąż deklarowano konieczność upowszechniania postaw ateistycznych oraz krzewienia naukowego światopoglądu. Dla kierownictwa partii szokujące były wyniki badań na temat religijności członków PZPR. Wynikało z nich, że zdecydowana większość nie tylko członków partii, ale również funkcjonariuszy aparatu partyjnego, jest wierząca. Nie jest też tak, że w latach osiemdziesiątych zakończono gnębienie funkcjonariuszy partyjnych czy państwowych za praktyki religijne. W latach osiemdziesiątych były wypadki, że odwoływano ze stanowisk albo udzielało nagan za to, że jakiś sekretarz czy generał brał udział w kościelnym ślubie córki, pozwolił w ogóle na ten ślub czy uczestniczył w pogrzebie katolickim. Więc to nie jest tak, że władze całkowicie skapitulowały, jednak efektywność tych działań była dużo mniejsza niż wcześniej.

B.P. – Jak ocenia pan straty poniesione przez Kościół polski w okresie Polski Ludowej? Myślę, że w porównaniu z możliwościami, przede wszystkim siłowymi, represyjnymi i organizacyjnymi, jakie miał do dyspozycji cały system komunistyczny, czego zresztą używał wobec na przykład kościołów w ZSRR, te straty nie były maksymalne.

A.D. – Straty polskiego Kościoła były też z pewnością dużo mniejsze niż choćby na Węgrzech, ale okazały się jednak ogromne. Były to straty również ściśle materialne, które nawet można próbować oszacować – ile majątku kościelnego, nieruchomości, ruchomości – zostało zajętych na poczet zaległości podatkowych. Nie mówiłem dotychczas o całej presji podatkowej, którą wywierano na Kościół. Zajmowano księżom samochody, maszyny do pisania, dywany, a nawet monstrancje. Przede wszystkim były to jednak ogromne straty ludzkie: ileż złamanych życiorysów seminarzystów, którzy mogliby być dobrymi duchownymi, a ich skompromitowano, księży, których złamano i nakłoniono do współpracy, osób świeckich, które nie zrobiły kariery życiowej, bo nie potrafiły zrezygnować z wiary. Mówiono im na przykład tak: „proszę przestać posyłać dzieci na naukę religii, to zrobimy was kierownikiem” albo „wy coś za bardzo do tego kościoła



chodzicie i nie będziecie awansować". To wszystko jest przecież niemierzalne.

Oceniam prymasa Wyszyńskiego i jego strategię bardzo wysoko, co nie znaczy, że nie dopuszczał się żadnych błędów i nie wszystkie jego decyzje uznaję za jednoznacznie pozytywne. Bilans jego prymasostwa uważam za pozytywny nie tylko dla Kościoła, ale i dla Polski. On, broniąc interesów Kościoła, a był w końcu Księciem Kościoła, dobrze bronił interesów narodu polskiego, przeciwstawiając się temu wszystkiemu, co komuniści usiłowali wprowadzić w świadomość społeczną. To nie była tylko kwestia naukowego światopoglądu, to była też kwestia wszystkich tych pseudoprawd, półprawd, fałszerstw, czy kłamstw, które komuniści lansowali. To był spór wielopłaszczyznowy, który nie dotyczył tylko sfery religii, ale również kultury, obyczaju, historii, bardzo szeroko rozumianej sfery świadomości społecznej.

